

A gdzie Hugo Steinhaus?

JERZY PELC

Żał mi, że „Ławkę Banacha” na krakowskich Plantach mogę oglądać tylko na fotografii. Świetny pomysł i mistrzowska realizacja. Ale gdzie Hugo Steinhaus? Przecież gdyby akurat wtedy nie przechodził i nie dostyszał rozmowy dwóch młodych matematyków, Stefana Banacha i Ottona Nikodyma, nie doszłoby do zdarzenia, które potem nazywał swoim największym odkryciem matematycznym. Wiadomo, że to autentyczne wydarzenie stało się punktem zwrotnym w dziejach matematyki, nie tylko polskiej. Przydaje też chwały historii Krakowa. Przy tym „ławeczkowe” monumenty, utrwalające jakiś pamiętny fakt, są dziś na czasie. Widziałem taki w parku w Tartu w Estonii. Zresztą ów fakt nie musi być wyjątkowy; rzesze studentów codziennie przechodzą obok swego „kolegi z brązu”, siedzącego na ławeczce przed gmachem Starej Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie.

Wzniesienie nowego lub rozbudowanie istniejącego monumentu wymaga pieniędzy i wysiłku organizacyjnego, dopomóżmy więc władzom miejskim Krakowa, który tak wspaniale zwykł upamiętniać zasługi i chwałę tegoż grodu. Niech matematycy, informatycy, logicy, fizycy – nie tylko krakowscy – skrzykną się i utworzą zespół, do którego chętni będą mogli kierować datki na pomnik Steinhausa. Powstałaby nowa komórka Społeczeństwa Obywatelskiego, tak bardzo zwłaszcza teraz potrzebnej inicjatywy. Nie mnie, profanowi, podpowiadać wybitnemu Artyście, autorowi „Ławki Banacha”, gdzie umieścić jego rzeźbę. Wolno mi jednak uspokoić Zarząd Miasta Krakowa, że mogłaby ona stać na trawniku za ławką, wsparta rękami na jej poręczy: Steinhaus pochylony przysłuchiwałby się rozmowie dwóch młodych kolegów. Za cenę tego drobnego odstępstwa od prawdy historycznej znikłaby obawa, że będzie przeszkadzał spacerującym po Plantach.

Późną jesienią 1944 r. Henryk Stonert, logik i prakseolog, ranny w Powstaniu Warszawskim, zaszedł do profesora Stanisława Pigonia, który w Krakowie z ramienia Delegatury Rządu Rzeczypospolitej na Uchodźstwie przyznawał i wręczał zapomogi wygnańcom. Gospodarz po kwadransie rozmowy zaprosił gościa, by zamieszkał u niego i jego rodziny w ich mieszkaniu w blokach PKO na Wielopolu. I Stonert pozostał tam przez ileś tygodni. Gdyby go gestapo znalazło, naraziłoby to nie tylko rodzinę

państwa Pigoniów, ale i rodziców Profesora w Komborni, i ojcowy dobytek, może i całą wieś. Był to akt pomocy na miesiąc przed ogłoszeniem hasła „Cały Naród buduje swoją Stolicę”, a na wiele lat przed Gierkowskim „Pomożecie?”. Warszawa mogłaby się odwdziżyć za ten odważny gest i np. jedną z przecnic ulicy Banacha nazwać ulicą Steinhausa – rezydują tam matematycy oraz informatycy Uniwersytetu Warszawskiego, a drugą – Nikodyma, trzecią Chwistka; opodal mają swe siedziby chemicy, biochemicy, biofizycy. Powstałaby Ochota Uczonych w sąsiedztwie ulicy Grójeckiej, którą wyjeżdża się do Krakowa.

Z tym miastem czuję się związany od dziecka. Tędy wiodła droga na przedwojenne wakacje w Piwnicznej lub Zakopanem w ciągu kilku lat; a po wojnie – w Tatrach lub w Krynicy w ciągu kilkudziesięciu. Pamiętam, jakie tumany kurzu wznosiły kopyta konia, gdy fiaker w meloniku wioził nas z dworca na ulicę Szlak, na początku lat trzydziestych jeszcze niebrukowaną. Tu mieścił się oddział instytucji, w której pracował mój Ojciec. Był tam pokój gościnny.

Do siedziby gestapo w gmachu nieopodal trafiłem z końcem 1944 roku. Zatrzymany na pl. Wolnica, po wyjściu z tajnego kompletu, wzbudziłem podejrzenie konwojenta Ukraińca moim zaświadczeniem o przymusowym kopaniu okopów, jedynym nie sfalszowanym dokumentem, jaki miałem. Inne dokumenty wypełniłem własnoręcznie urzędowym tuszem na autentycznych blankietach dostarczonych mi przez komórkę AK w Ożarowie, gdzie w październiku 1944 schroniłem się, uszedłszy z transportu powstańców pędzonych do obozu. W gestapo Niemiec obejrzał tylko to zaświadczenie i stwierdziwszy, że nie jest podrobione, kazał mi iść precz. Reszta transportu usłyszała: „nach Montelupi!” albo „nach Auschwitz!”.

W Krakowie odbyłem swoje ostatnie uniwersyteckie zajęcia na kompletach UJ, i pierwsze na wyzwolonym Uniwersytecie. Stojąc na Karmelickiej, oglądałem wejście, a raczej wtargnięcie Armii Wyzwolicielki *ex Oriente*: pijanych oberwańców, którzy biegli na zachód w łapciach, z workami na plecach zamiast wojskowych tornistrów znikali w przecnicach dla grabieży. Potem zaczęły snuć się po ulicach szkielety półtrupów w pasiakach; dowlekli się z Auschwitz i nieprzytomnymi oczyma



Fot. z Archiwum Centrum Steinhausa

► oglądali świat, nie wierząc, że nadal istnieje. W Krakowie spędziłem z rodzicami niemal rok, który dobrze wspominam – z wyjątkiem kilku dni w „kotle” założonym przez UB. Miłą pamiątką jest dla mnie znaczek członka Bratniej Pomocy Studentów UJ. I pierwsza w życiu legitymacja służbowa zastępcy asystenta „Uniwersytetu Warszawskiego w tymczasowej siedzibie na UJ w Krakowie”. Wystawiona na blankiecie UJ, podpisana przez Rektora Lehra-Spławińskiego, nosi datę „31 stycznia 1945 r.” – początek pracy na Uniwersytecie, trwającej nieprzerwanie do maja 2010 roku. Aż do lat siedemdziesiątych bywałem w Krakowie na konwersatoriach i konferencjach, a do roku 2012 na zebraniach PAU. Myślę, że mogę się tu nie czuć intruzem, który usiłuje wtrącać się do nie swoich spraw, gdy zapytam krakowskich przyjaciół po krakowsku: „A gdyby ci tak zasiać nową tradycję: niech każdy licencjat, magister, doktor, doktor habilitowany, czyli docent, profesor (i ten „podwórkowy”, i ten „belwederski”), członek korespondent, członek czynny i członek zagraniczny PAU – matematyk wszelkiej specjalności i pokrewnych dyscyplin z każdej krakowskiej wyższej uczelni – przyjdzie na Planty ze swym właśnie otrzymanym dyplomem i zrobi sobie pamiątkowe zdjęcie z kolegami matematykami z ławki: Banachem, Nikodymem i Steinhausem, a z kwiatów, którymi został obdarowany, położy bukiet u ich stóp.

Napiszę do mego syna matematyka i wnuka politologa, profesorów uniwersytetów za Oceanem, aby do swych kolegów Polaków, a może nie tylko do Polaków, zaapelowali o pomoc materialną na rozbudowę pomnika wielkich uczonych. Zachęcam swych kolegów w Polsce, by do swoich krewnych na świecie skierowali podobną sugestię.

Ci, którzy będą decydować w sprawie rozbudowy pomnika i sfinansowania przedsięwzięcia, powinni dowiedzieć się więcej o Hugonie Steinhausie, niż umożliwia to treść zapisu w „Wikipedii”. Stąd wzięła się sugestia, by „PAUza” poświęciła mu jeden numer, a w nim umieściła artykuły pióra matematyków, logików, historyków nauki itp., informujące o wkładzie Hugona Steinhausia w naukę światową, oraz notatki o tym, jakim był człowiekiem, o jego ciętym dowcipie i wspianiałym poczuciu humoru, błyskotliwej inteligencji i walorach towarzyskich. Można by też przyznać nagrody w postaci książek i artykułów wspomnieniowych samego Hugona Steinhausia oraz książek zawierających wizerunki tego niezwykłego człowieka. Inaczej się myśli o papierowej postaci historycznej niż o kimś poznanym choćby i z plotek oraz zapisków o jego życiu i ciekawym środowisku rodzinnym (np. szwagier Leon Chwistek), naukowym i towarzyskim, które stanowiło ważny fragment polskiej Myślącej.

„PAUza Akademicka” 369 jest właśnie takim zeszytem „steinhausianów”. Wyrzebałem do niej w pamięci kilka tych nieważnych migawek z naszych spotkań.

Przypominam sobie taką scenę: wychodzę z apteki przy ul. Witkiewicza w Zakopanem, w rękę trzymam siatkę z lekarskimi, wówczas, w roku 1960, bezpłatnymi. Przez oka siatki widać jej zawartość¹. Z przeciwka zbliża się prof. Steinhaus. Mieszkamy w tym samym Domu Pracy Twórczej PAN „Pod Szczytami”, ale znamy się tylko z widzenia, głównie z jadalni, gdzie pp. Steinhausowie siadają przy sąsiednim stoliku razem z pp. Baryczami, a my z moją żoną i z rektorem Walerym Goetlem. Hugo Steinhaus odpowiada na mój ukłon i podchodzi ze słowami: „Widzę, że Pan Kolega stołuje się w aptece”. Ta dowcipna, doraźna reakcja na sytuację zaintrygowała mnie, a owo „pan kolega” zabrzmiało po lwowsku w moich uszach „warszawisty”, ale syna rodowitego lwowianina². Zagadnąłem Profesora o Lwów. „Tak, można powiedzieć, że ze Lwowa, ale od niedawna, dopiero po

maturze, a od piętnastu lat z Wrocławia, więc w sumie krótko, najwyżej koło czterdziestu lat, z przerwami”. Poszliśmy razem w stronę naszego pensjonatu; właśnie nadchodziła pora obiadu. Potoczyła się rozmowa, Lwów był jej punktem wyjścia. Profesor – tak jak i oboje moi rodzice (mój Ojciec był o rok młodszy od Hugona Steinhausia) – na I roku chodził na bardzo wczesne poranne wykłady Kazimierza Twardowskiego w wielkim amfiteatralnym audytorium i także wspominał, że kto się spóźnił choćby o kilkanaście sekund, musiał wytrzymać srogą karę: Twardowski przerywał wykład w pół słowa, wyjmował z kieszeni zegarek i wpatrując się weń, czekał w milczeniu, aż nieszczęśnik dotrze na jedyne jeszcze wolne miejsca na „jaskółce”.

Zauważyłem, że Profesor ma niezachwiane zapatrywania językowe: gdy użyłem spójnika „żeby”, aż przystanął: „Chyba chciał Pan Kolega powiedzieć ‘aby’”. – „Nie, a co to za różnica?” – „Ależ to zupełnie co innego znaczy!” i usiłował mnie przekonać. Mój syn zaś przysłał mi następującą anegdotę: „Steinhaus uporczywie cytował na seminarium ‘twierdzenie Knastra’, a obecny na sali Knaster za każdym razem poprawiał na ‘twierdzenie Knastera’. Po kilku razach zirytowany Knaster powiedział do Steinhausia: ‘Chyba każdy ma prawo do własnego nazwiska!’. Na co Steinhaus: ‘Tak, ale tylko w mianowniku’”.

Innym razem, gdy ktoś narzekał, że nie ma szczęścia i albo nic nie wygrywa w grze liczbowej, albo tylko jakieś nędzne grosze, Steinhaus zauważył: „jest na to sposób: grać przeciw wszystkim! Ludzie chętnie obstawiają pewne szczęśliwe liczby, np. siódmkę, dziewiątkę, trzynastkę. Zebraliśmy w Totalizatorze dane w tej sprawie. Należy wybierać niepopularne liczby. Wtedy, jeśli się wygra, to większą sumę, bo ci liczni, co przegrali, złożą się na naszą wygraną”.

Profesor lubił żarty. Chwalił się np., że gdy jego córka przyjęła oświadczyni Jana Kotta, swego przyszłego męża, długo odmawiał poznania go, bo bawiła go myśl, że „kupuje kota w worku”.

Podczas posiłków ukradkiem spoglądałem na sąsiedni stolik i zauważyłem, że prof. Steinhaus każde danie dzieli na połowę i poprzestaje na „dziecinnej”, zredukowanej porcji. Co prawda był niewysoki i raczej drobnej postury, ale i tak ta racja żywnościowa wydała mi się głodowa. Zwłaszcza że wiódł życie ruchliwe, uprawiał intensywną turystykę górską.

Przypominam sobie, że raz ze swym kilkuletnim wnukiem, Michałem, wyruszyli wczesnym rankiem na Czerwone Wierchy i przemierzwszy całe pasmo, stawili się punktualnie w pensjonacie na obiad.

W gronie młodych ludzi – a ich towarzystwo lubił – Profesor często wybierał się na taneczny „five” lub wieczorny dancing. Nie omijał wtedy żadnego tańca, a pragnienie gasił lemoniadą, nie zaś – jak reszta towarzystwa – winem. Żartował, że jego rodzina posiadała w Jaśle winne piwnice, więc ma we krwi nadmiar tego trunku. Może wówczas – przeszło siedemdziesięcioletni – obawiał się udaru. Ten jednak go nie ominął, mimo że Profesor intensywnie przez wiele lat trenował mózg, wiódł ruchliwe życie, przestrzegał diety oraz unikał alkoholu. Mówiono mi, że w środku wykładu – jak się okazało ostatniego – umysł osiemdziesięcioletniego wówczas człowieka odmówił posłuszeństwa i adiunkt obecny na sali musiał dokończyć wywodów.

Tak się złożyło, że krewna mojej żony – po wojnie także wrocławianka – Ruta Czaplńska, bywała gościem w domu Państwa Steinhausów. Po śmierci ich obojga pojemnik na chleb z kuchni Steinhausów trafił – nie wiem jak – do niej, a po jej śmierci – do nas. Mam więc u siebie mały fragment „izby pamięci” Hugona Steinhausia i choć nie żaden to symbol ani muzealne cymelium, obecność tego sprzętu sprawia mi satysfakcję.

JERZY PELC

Uniwersytet Warszawski

¹ Starsi ludzie do dzisiaj „siatkę” nazywają także i tzw. „reklamówkę”, torbę z plastyku, a Polonia w Stanach Zjednoczonych również papierowe torby na zakupy.

² „Warszawista” to nieco uszczypliwe lwowskie miano mieszkańca Warszawy, dumnego z jej stołeczności, choć przecież każde dziecko w Galicji wie, że stolicą jest królewskie miasto Kraków, a Warszawa zaledwie od przedwczoraj i tylko tymczasowo.